

Eremanta

Joanna
Skalska

Eremanta



powergraph

Warszawa 2010

Copyright © 2010 by Joanna Skalska
Copyright © 2010 by Powergraph
Copyright © 2010 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-15-8

Printed in Poland, EU

Mojemu mężowi

Eremanta, choć przeklęta, z daleka wyglądała pięknie. Z jej boku wiła się wstążka krystalicznego strumienia, a pośrodku połyskiwała w słońcu kościelna wieża. Zmęczony podróżny – pielgrzym lub kupiec, który czasem zabłąkał się w te niedostępne rejony Serra Maladety – widział ją właśnie taką: odległą i spokojną, zapowiadającą długo oczekiwany odpoczynek, kuszącą obietnicą kubka chłodnej wody oraz pogawędki z miejscowym gospodarzem.

Wystarczyło jednak, że wędrowiec podchodził bliżej, a widok pierwszych zabudowań rozwiewał sielankowy obraz. Ze ścian domów odpadały płaty farby. Na zaśmieconych werandach stały połamane ławki. A kiedy przybysz docierał do wioski i wchodził w jej pierwszy cień, ten, zamiast oczekiwanej ulgi, przynosił niepokój. Powietrze stawało się gorące i lepkie, wiatr ustawał, jakby napotykał niewidoczną barierę tam, gdzie kończyły się łąki, a zaczynała Eremanta. Niespodziewana cisza spadała na podróżnego.

Wieś sprawiała wrażenie opuszczonej i dopiero po dłuższej chwili wzrok zaczynał tu i ówdzie odkrywać ślady ludzkiej obecności: bieliznę rozwieszoną na sznurkach, kwiatek na parapecie czy wałęsającą się po podwórku kozę. W jednym z okien ukazywała się nachylona sylwetka kobiety, inna postać przemykała między zagrodami, aż wreszcie spojrzenia kilku mieszkańców spoczywały na wędrowcu. Jednak jego osoba nie wzbudzała zainteresowania i wzrok eremantczyków obojętnie przesunął się dalej, a ich ręce podejmowały przerwane zajęcia. Nawet rozciągnięte na werandach psy nie podnosiły pysków. Ich zapadłe między żebrami boki unosiły się i opadały w rytm ciężkich oddechów.

Podróżny szedł dalej. Im głębiej zanurzał się w ulice Eremanty, tym powietrze stawało się cięższe. Nieokreślona woń, która od jakiegoś czasu kołowała nad jego głową, nabierała wyrazistości. Już nie mógł jej z niczym pomylić – to zapach dymu. Na głównym placu swąd stawał się tak silny, jakby pożar szalał tuż obok. Wędrowiec rozglądał się i choć nie dostrzegał śladów ognia, jego niepokój nie malał. Po chwili wahania pukał do najbliższych drzwi i żywo gestykułując, przestrzegał przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Postać w progu, blada i milcząca, obojętnie wzruszała ramionami i bez słowa wycofywała się do wnętrza. Drzwi zamykały się z cichym skrzypnięciem.

Zaskoczony podróżny przez chwilę wpatrywał się w ich łuszczącą się powierzchnię. Wreszcie odwracał się i kierował kroki ku kościołowi. Widziana z góry świątynia dumnie wznosiła się nad dachami wioski, ale z bliska traciła cały majestat. Odpadający tynk i szerniałe szyby w oknach – niewiele brakowało jej do kompletnej ruiny. Tylko krzyż przed wejściem oraz leżący przy nim bukiet

polnych kwiatów świadczyły o tym, że jest to dom Boga i schronienie dla Jego ludu. Przybysz właśnie tego potrzebował – osłony przed słońcem i odpoczynku dla zmęczonych nóg. Ale drzwi kościoła były zamknięte. Wędrowiec jeszcze się wahał, przykładając twarz do okna i zaglądał do pustego wnętrza. Potem odwracał się i ruszał w stronę gór, na zawsze opuszczając niegościnną wioskę.

I

W Eremancie nigdy nie wspomiano o klątwie. Nie było podania, które w mroku zimowych wieczorów babki szeptałyby wnukom. Nie skomponowano pieśni, którą wędrowni muzycy śpiewaliby w gospodach. Żadna baśń nie straszyla słuchaczy groźbą klątwy z Eremanty. A jednak legenda istniała. Choć trzymała się z dala od ludzkich ust, przetrwała w ich sercach, niezmienną przez wieki, zabezpieczona przed ułomnościami i ubarwieniami mówionych opowieści.

Mieszkańcy Eremanty w ogóle rzadko się odzywali. Słów unikali nawet w najbardziej przyziemnych sytuacjach. W ciszy pracowali i jedli posiłki, w ciszy odpoczywali. Rankiem mężczyźni w milczeniu wyprowadzali kozy na pastwiska, potem szli do winnicy. Pozostawione w domach kobiety doskonale radziły sobie z wychowywaniem dzieci i pielęgnowaniem ogródków – bez słów. Dzieci, gdzie indziej tak hałaśliwe, obywaty się bez krzyków i pisków. Bez szemrania dzieliły się na obozy „dobrych” oraz „złych” i przeprowadzały krwawe wojny.

Nawet niemowlęta cichutko leżały w kołyskach. Godziny mijały w milczeniu.

Wieczorem wracali mężczyźni i siadano do kolacji. Potem wychodzono na werandy, przedziwne salony towarzyskie. O stałej porze wszystkie rodziny zasiadały na ławkach przed domami. Mężowie nabijali fajki, żony trzymały dłonie na podolkach, dzieci się nudziły. Każdy patrzył prosto przed siebie, unikając wzroku najbliższej rodziny czy sąsiadów. Po mniej więcej godzinie mężczyznom kończył się tytoń, kobiety zaganiały dzieci do łóżek i werandy pustoszały. Wszystko odbywało się w absolutnym milczeniu. Jedyne czasem między sąsiadami wymieniony został niemy ukłon, lekkie skinienie głowy, które zastępowało powitanie, pożegnanie czy pogawędkę o pogodzie.

W takim rytmie upływały miesiące. Tylko na koniec sierpnia, kiedy przychodziła pora zbioru winogron, mieszkańcy się ożywiali. Domy i podwórka zupełnie się wyludniały i wszyscy, nie wyłączając kobiet i dzieci, spędzali dnie w otaczających wioskę winnicach. Spieszono się. Okres, kiedy owoce utrzymywały dojrzałość potrzebną do produkcji najlepszego wina, był krótki. Już za kilka dni grona stałyby się zbyt słodkie i nadmiar cukru zepsułby końcowy produkt. Nie szczędzono więc wysiłków, pracując od świtu do nocy, a ciszę wspólnych zbiorów zakłócało jedynie bzyczenie owadów. Mimo to praca przebiegała sprawnie. Zapełnione kosze opróżniano o czasie, a dzbanki ze świeżą wodą nie omijały żadnego spragnionego gardła. Zbieracze zdawali się porozumiewać językiem bez słów, w którym każdy ruch dłoni, uniesienie brwi czy wzruszenie ramion miało znaczenie.

Nie sposób osądzić, czy było to skutkiem, czy przyczyną milczenia, ale eremantczycy sprawiali wrażenie

stale pogrążonych w rozmyślaniach. Ich posępne twarze miały niezdrowy odcień i choćby godzinami wystawiali oblicza do słońca, ich skóra nie zmieniała swej woskowej barwy. Właśnie bladość najbardziej wyróżniała ich spośród śniadych mieszkańców kraju i nawet gdyby któryś z nich znalazł się poza Eremantą, zawędrował setki kilometrów na północ lub południe, zawsze zostałby rozpoznany jako jej mieszkaniec. Ale oni rzadko opuszczali wioskę.

Najdłuższa wyprawa, na jaką się poważali, sięgała Vila Famalio, miasta na obrzeżach Serra Maladety. Raz w roku, w okresie targowym, mężczyźni obładowywali muły beczkami wina. Wyruszeni o świcie, by znużeni marszem oraz miejskim gwarem powrócić o zmroku dnia następnego. Muły – odwrotnie niż ich właściciele – były pełne energii. Uwolnione od ciężaru na grzbietach, lekkim truchtem wbiegały do wioski. Wino z Eremanty miało bowiem swoją sławę i nie zdarzyło się, aby jakaś beczka nie znalazła nabywcy.

Podróż na targ była przykrym obowiązkiem. Opuszczający wioskę mężczyźni czuli się nieswojo, jakby niewidzialne liny trzymały ich na uwięzi wokół tych kilku piaszczystych uliczek, podupadających domostw i rynku z kościołem. A jednak w życiu każdego mężczyzny nadchodził też moment, w którym gwałtownie przerywał więzy z Eremantą. Jedni – w młodości, drudzy – w wieku dojrzałym, jeszcze inni – u progu starości; w tej sprawie nie było reguły. Jakby wewnętrzny zegar wskazywał każdemu z osobna, kiedy wypełnił się smutek jego życia. Uciekał wtedy nocą, a Eremanta chętnie uwalniała go spod swego czaru, powierzając opiece śmierci. Zaciągał się do armii, tej, której obóz jako pierwszy napotkał na swojej drodze. Nie dbał o to, czyją stronę wspiera

jego ramię, ale bił się tak desperacko, jakby walczył o najdroższe sercu sprawy. Wreszcie ginął, poszarpany setkami karabinowych kul.

Dzięki tej determinacji mężczyźni Eremanty zdobyli nie tylko miano białych straceńców, ale i prawdziwą sławę po obu stronach frontu. Dowódcy wojsk starali się tak układać plany, aby ich obozy stacjonowały możliwie najbliżej wioski. A jeśli biały straceniec pojawiał się w szeregach którejś armii, natychmiast raportowano to generałom i sztab zbierał się na nadzwyczajnym zebraniu. W parę godzin powstawała nowa strategia walki. Dziesiątki gońców z rozkazami rozpraszało się po okolicy, wielotysięczne armie ulegały przegrupowaniu, szyki przetasowaniu, a wszystko po to, by najlepiej wykorzystać świeżo zdobytą śmiercionośną broń – uciekiniera z Eremanty. On sam był obojętny na te intrygi. Szedł tam, gdzie go prowadzono. Walczył, kiedy słyszał sygnał do ataku. I wreszcie ginął. W ten sposób mężczyźni Eremanty przyczyniali się do trwania tej wojny bez początku i końca, przeważając szalę zwycięstwa raz na jedną, raz na drugą stronę.

Sama Eremanta była jednak wolna od wojennego zgiełku. Mieszkańcy nie ekscytowali się huśtawką zwycięstw i klęsk, może nawet nie uświadamiali sobie swojego na nią wpływu. Zniknięcia mężczyzn traktowali jak naturalną kolej rzeczy. Nikt się nie dziwił, kiedy mąż i ojciec, głowa rodziny, jednego dnia zajmował się swymi obowiązkami, a następnego, bez ostrzeżenia czy pożegnania, po prostu zniknął. Kiedy domownicy spostrzegali jego nieobecność, bez słowa sięgali po czarne ubrania, które przygotowane na tę okazję leżały od dawna w szafach i skrzyniach, i chodzili w tej przedwczesnej przecież żałobie równo miesiąc.

Na dzisiaj koniec. Kliknęła myszką czerwony krzyżyk w górnym rogu. Czarne znaczki liter zniknęły z ekranu i zostały zapisane na dysku, bezpieczne pod nazwą *erem_4.doc*. Przejechała dłonią po zeszywniałym karku i oderwała wzrok od laptopa. Spojrzała na zewnątrz; zaczęło padać. Ciemna, zapowiadająca burzę chmura przysłoniła niebo. Strumienie deszczu rozpryskiwały się o blaszane parapety sąsiedniej posesji. Magda zerwała się z krzesła. Okna!

Wybiegła z pokoju, ale na widok jednakowych drzwi po obu stronach ciemnego korytarza zawahała się. Wciąż nie poruszała się tu zbyt pewnie, myliła kierunki i wpadała na meble. Swobodnie czuła się tylko w kuchni i w swojej norze, jak nazywała niewielki pokój, gdzie spała i pracowała. Właściwie rzadko zapuszczała się w pozostałe rejony trzypiętrowego domu.

Otworzyła drzwi po lewej. Przeciąg dmuchnął jej prosto w twarz, więc czym prędzej wbiegła do środka, zamknęła okno, przetarła dłonią mokry parapet i rozejrzała się po pokoju. Książki, gry i rzędy płyt z filmami – wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Na widok stojącego w rogu komputera znowu poczuła ukłucie zazdrości. Jej stary laptop był przynajmniej o klasę gorszy. Zerknęła na wiszące nad biurkiem dwa szkolne plany, których nie zdjęto przed wyjazdem. Na tym należącym do dwunastoletniego Mateusza, czy raczej – jak podpisano u góry kartki – Matta, oprócz zwykłych lekcji były jeszcze prywatne korepetycje z francuskiego, basen i nauka jazdy konnej. Starsza, Natalia – Natalie – każde popołudnie miała wypełnione dodatkowymi zajęciami. Ciekawe, co teraz robią?, pomyślała. Czy wylegują się gdzieś na florydzkiej plaży, podczas gdy

ja pilnuję, żeby ich książki nie kurzyły się w pustym domu? Spróbowała sobie wyobrazić, jak czułaby się ona, kiedy była w ich wieku, gdyby rodzice zaproponowali jej taki wyjazd, prawie dwa miesiące przed końcem roku szkolnego.

W gruncie rzeczy nie miała powodów do narzekania. Trafiła jej się niezła fucha, choć kiedy pierwszy raz usłyszała propozycję Kaśki, stanowczo odmówiła. Perspektywa niemal trzech miesięcy spędzonych samotnie w obcym domu, w obcym kraju, niezbyt jej się spodobała. Jednak przyjaciółka nie dawała za wygraną.

— Nie będzie cię to nic kosztowało — mówiła. — Sławińscy płacą normalnie wszystkie rachunki. Gaz, prąd, nawet telefon. Musisz jedynie podlewać kwiaty. I jeszcze dostaniesz za to kasę.

Kaśka miała rok na zakończenie doktoratu i liczyła na to, że Sławiński, który od wielu lat mieszkał i pracował w Anglii, pomoże jej w znalezieniu etatu na uczelni za granicą. Żona profesora była zdaje się zatrudniona w jakiejś galerii sztuki, ale musiało to mieć dość luźny charakter, skoro mogła sobie pozwolić na tak długi urlop. Nie był to zresztą zwykły wyjazd, tylko podróż od jednego do drugiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, ponoć od dawna zapowiadana dzieciom, no i pierwsze od wielu lat wspólne wakacje całej rodziny. Kiedy Magda usłyszała o tych planach, długo nie mogła uwierzyć, że gdzieś ludzie żyją w ten sposób.

Kaśka już dawno obiecała, że na czas nieobecności Sławińskich popilnuje ich domu. Niespodziewane życiowe zawirowania, pod imieniem Mariusz kryjące szerokie ramiona oraz śpiewną góralską wymowę, sprawiły, że wakacje zamiast na przedmieściach Londynu wołała spędzić w domu narzeczonego w Nowym Targu.

Magdzie zabrakło argumentów, żeby odierać nalegania przyjaciółki. Trzymiesięczny okres wypowiedzenia w Horyzontach kończył się w drugiej połowie czerwca, a ona nie miała żadnych planów na później. W końcu więc zgodziła się i wkrótce odkryła, że pod wspomnianym przez przyjaciółkę podlewaniem kwiatków naprawdę kryło się dużo więcej. Regularne wietrzenie pokoi, odkurzanie dywanów, koszenie trawników, a także kilka innych zajęć, które znalazły się na liście, wciąż leżącej na stole w kuchni. Wszystkie te obowiązki Sławińska omówiła z nią już kilka minut po przyjeździe, ale widocznie Magda – przejęta lotem i spotkaniem z profesorem, odnalezionym w tłumie na lotnisku tylko dzięki kartce z jej imieniem i nazwiskiem, którą trzymał w ręku – niezbyt przekonująco potakiwała wtedy głową, więc pani domu na wszelki wypadek postanowiła zostawić instrukcje na piśmie.

Spotkanie ze Sławińskimi nie trwało długo. Magda została jeszcze poinstruowana, jak działa alarm, który klucz pasuje do którego zamka – i ledwo upiła kilka łyków przypominającej kakao herbaty, którą postawiła przed nią profesorowa, a przez otwarte okno zabrzmiał klakson zamówionej taksówki. Rodzina Sławińskich zapakowała się do samochodu z charakterystycznie zaokrąglonym dachem i odjechała, zabierając ze sobą wypchane walizki, drogie ubezpieczenie podróżne, hałas i zamieszanie. Magda została sama, z trzykondygnacyjną posiadłością przy spokojnej uliczce londyńskiego Richmond do swojej dyspozycji, z wielkim ogrodem, spokojem i ciszą.

Teraz ogród skąpany był w deszczu. Dziewczyna jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, w którym rodzeństwo uczyło się i spędzało wolny czas, i ruszyła na dalszy

obchód domu. Był już najwyższy czas, aby pozamykać pozostałe okna.

Wieczorem, zanim położyła się spać, włączyła laptop i spojrzała na strony przetłumaczonego tekstu. Wreszcie się udało. Nad pierwszym rozdziałem pracowała prawie tydzień, ale większość prób nie zasługiwała nawet na to, żeby zapisać je na dysku. Już kilkanaście plików zniknęło na zawsze z pamięci komputera. Zachowała jedynie trzy wersje, na wypadek gdyby nie udało jej się wymyślić nic lepszego. Dziś wiedziała, że *erem_1.doc*, *erem_2.doc*, a nawet zupełnie nie najgorsze *erem_3b.doc* nie będą już potrzebne. Wreszcie zdołała uchwycić właściwy ton, odtworzyć atmosferę oryginału.

Wciąż pamiętała, jak ta atmosfera przykuła ją do lektury, kiedy tylko przeczytała pierwsze akapity książki. Czy to była fikcja, czy dziwny, stylizowany na fabułę pamiętnik historyczny? A przecież nic nie zapowiadało piorunującego wrażenia. Okładka była szara i przybrudzona. Książka wpadła jej w ręce przypadkiem, w madryckim antykwariacie. Zajrzała do niego, czekając, aż podnieceni widokiem sklepów z pamiątkami uczestnicy wycieczki zrobią zakupy i autokar ruszy w dalszą trasę. Półki antykwariatu ugięły się pod poupychanymi bez żadnego porządku książkami. Albumy sztuki stały obok romansów, słowniki sąsiadowały z traktatami filozoficznymi i książkami kucharskimi. Magda krążyła między regałami i od czasu do czasu, zaintrygowana tytułem lub odległą datą wydania, kartkowała jeden albo drugi tom. Po Eremantę sięgnęła tylko dlatego, że sąsiadowała ze starym i wyglądającym na cenny atlasem geograficznym. Bez wielkich oczekiwań zerknęła między sztywne okładki.

Pierwsze linijki wciągnęły ją jak czarna dziura. W ustach poczuła unoszący się nad drogami wioski

kurz. Usiadła na taborecie, stojącym w rogu zagraconego antykwariatu, i czytała, dopóki z lektury nie wyrwały jej pochrząkiwania sprzedawcy. Spojrzała na zegarek i w popłochu wybiegła na ulicę. Według planu wycieczka właśnie powinna wyjeżdżać z miasta.

W autokarze przywitały ją zgryźliwe słowa kierowcy i wrogie spojrzenia turystów czekających na panią pilot. Siedmiodniowe wycieczki po Półwyspie Iberyjskim miały napięty program i nawet półgodzinne opóźnienie mogło zrujnować całe popołudnie. Nie zwracała na nikogo uwagi, usiadła na miejscu pilota i otworzyła dopiero co zakupioną książkę. Trzy godziny później, kiedy wjeżdżali na przedmieścia Saragossy, ona docierała do ostatniego zdania.

Czy ta historia nie mogłaby wyglądać właśnie tak?

Mogłaby – ale niestety nie wyglądała, choć książka rzeczywiście zrobiła na niej niezwykle wrażenie. Prawdziwy był również madrycki antykwariat i siedmiodniowa wycieczka po Półwyspie Iberyjskim. Tyle tylko, że to nie Magda była jej przewodnikiem, nie ona wertowała półki ze starymi hiszpańskimi tomami. Ona siedziała wtedy w biurze Horyzontów, wysyłając faksy i odbierając telefony. *Eremanta* trafiła do niej później, po zakończeniu wycieczki, razem ze stosem rachunków i dwoma innymi książkami, które rzucił jej na biurko Kuba. Rachunki oznaczały pracę, kserowanie i księgowanie, ale książki były wyłącznie dla przyjemności. Na prośbę Magdy Kuba od czasu do czasu przywoził jej kilka oryginałów, choć nigdy nie ukrywała, że szlifuje język z myślą o awansie, a drugi hiszpańskojęzyczny przewodnik niewątpliwie zachwiałby pozycją Kuby w firmie.

Przejechała kursorem po równych linijkach tekstu, poprawiając kilka literówek, gdzieniegdzie dodając przecinki. Wreszcie jej wzrok się zatrzymał.

„Zbieracze zdawali się porozumiewać językiem bez słów, w którym każdy ruch dłoni, uniesienie brwi, wzruszenie ramion miało znaczenie”.

Przeczytała jeszcze raz. „... Porozumiewać się językiem bez słów...”. Czy to pasowało do eremantczyków? Za bardzo kojarzyło jej się z opisem pary kochanków. Jak zakłęcie, tworzyło serię obrazów: abrakadabra, oto pojawiają się on i ona, ich skóra promienieje, włosy błyszczą jak na reklamach szamponu. Hokus-pokus i ona, to zawsze jest ona, przymyka powieki, odgarnia z czoła niesforny kosmyk, a on... on wszystko rozumie, zapewnia o uczuciu i rezerwuje bilety na wspólne wakacje.

Magda skrzywiła się. Szybko wykasowała sformułowanie budzące wątpliwości, a zamiast niego wpisała w tekst ciąg znaków zapytania i obiecała sobie, że jeszcze wróci do tego fragmentu. Zapisała plik i wyłączyła komputer.

Jacek znów nie zadzwonił.